№ 2.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Naglowic.

ROK 1844. Poznań, dnia 17. Stycznia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

U ludzi bogatszych, albo raczéj z dawnego przyzwyczajenia tak zwanych panów, zachodzi jeszcze dzisiaj pytanie jak najwłaściwiéj jest wychowywać młodzież męską, a mianowicie czy w kraju czy zagranicą, a potém czy w szkołach publicznych czy w domu przez prywatne lekcye. To pytanie rozstrzygnąć dla Księstwa Poznańskiego niejest trudno, bo szkoły, choćby im się mogły przydać jeszcze niektóre zmiany, przecież są europejskie, mające na celu postęp, pełnych wiadomości nauczycieli — i w ogóle wystawiają tak przygotowaną młodzież, jak jéj prywatni nauczyciele nigdy przygotować niepotrafią, choćby nawet kosztem królewskim podejmowani. Atoli są na ziemi takie okolice, gdzie szkoły publiczne jeszcze skrępowane w stare pęta, gdzie klassy podzielone w systemacie jezuickim, gdzie uczeń nim przyjdzie do słuchania nauk wydziałowych na uniwersytecie, musi przód przechodzić tak zwane humaniora, a któreby się raczéj inhumaniora zwać powinny, bo w nich młodzież w nieludzki sposób tylko czas zabija. Tam uniwersytet niejest także tém czém jest w Wrocławiu albo w Berlinie, ale tylko niezgrabną szkołą gymnazyalną z wąsiatymi uczniami. Nakoniec są okolice, w których obcym językiem wykładają po szkołach nauki, a którego literatura na samym szarym końcu europejskiéj stoi. Wykładają je z pogardą postępu, a nawet praw rozumu: częstokroć uczą matematyki przez same twierdzenia, bo dowodzenie za nadto rozjaśniałoby głowy.

Przy takim stanie szkół jaki przedstawiają te ostatnie dwie kategorye, powstaje pytanie już na słusznéj zasadzie, jak lepiéj wychowywać chłopca: czy publicznie czy prywatnie, czy w kraju czy kiedy można we Francyi lub Niemczech.

Niemając zamiaru ani miejsca wdawać się w obszerne rozprawy, bo tu jest naszém zagadnieniem, czynione przez czas pytania życia domowego tylko śpiesznie przecinać, odpowiadamy, że w takim razie kto może najlepiéj zrobi, jak syna wychowa razem i publicznie i prywatnie, to jest, że go odda do szkół, a o ile tylko zdoła, brak instrukcyi szkolnéj lub jéj skrzywienie umyślne, w domu dopełni i sprostuje.

Niech rodzice pamiętają, że przyszłego obywatela a zwłaszcza w kraju naszym jest obowiązkiem być naprzód jak drudzy, a bardzo dobrze skoro się stanie potém nad drugich. Nieszczęśliwy zaś ten, który się tak wykształci, że będzie całkiém inny i w całym kraju tylko sobie samemu podobnym.

Szkoły złe, ale wspólne z młodzieżą swego kraju, lepiéj wpływają na ukształcenie się cnot ojczystych, niż szkoły najlepsze na obcéj ziemi. Jeden młodzieniec psuje drugiego, ale jeden naucza też drugich. Gdzie nauczyciele krzywią pojęcia, tam przychodzi w pomoc z boku oświecona publiczność, a przez kilku pojętnych chłopców wpływa to do szkoły i prostuje pojęcia. Gdzie jest dążenie, aby młodzież niczego się nienauczyła, tam się zaraz pakaże zapał dla nauki. Nie rozwinie się z tego nigdy gruntowność naukowa, ale rozwinie się poświęcenie obywatelskie, a nietrudno powiedzieć, co nam jest potrzebniejsze. Chyba jaki twardy filolog niezgodziłby się tu z ogółem.

Najgorsze wychowanie zagraniczne. Tam się krzywi umysł i karłowacieje jak drzewo przeniesione

pod inne niebo. Póki w Polsce umiano tylko małpować cudzoziemców, wychowanie to przynosiło pewien urok, dziś jak wszystko rozwija się z narodowego pierwiastku wychowanie to nieimponuje, a tylko bystrzejszą młodzież bez śmieszności wypuszcza do swego kraju; w życiu zaś obywatelskiém od krzywego kierunku prawie nigdy nieodwróci.

CICHY ANIOŁ.

Przez

LUCIANA SIEMIEŃSKIEGO.

(Dokończenie.)

Przez ciąg kilkomiesięcznego pobytu w Z. widywałem Joasię w różnych wypadkach, często tak trudnych, że zwyczajna kobieta byłaby sto razy straciła głowę; widywałem ją zawsze czynną, wszędzie obecną, gdzie ratunek był potrzebny, ucierającą się z władzami, kołatającą do serc bogaczy; z drugiéj strony znowu obsypywaną pochwałami i uwielbieniem, które posuwano aż do pięknych pochlebstw i oświadczeń miłości, — i wśród tego życia tak rozerwanego, śród téj wziętości, tego pierwszeństwa jakie jéj oddawały najpierwsze osoby, nieuderzyło mię ani najlżejszy ślad dumy, lub zarozumienia, a jeszcze mniéj pretensyja błyszczenia patryotyzmem. Zawsze jedno i to samo czoło pogodne, więcéj łzawe niż przenikliwe, układ zawsze ten skromny, niewymuszony, jak ta perkalowa sukienka zachodząca pod szyję, jak ta świeżość i ubożuchne ochędóstwo w całym jéj stroju. Na dopełnienie jéj wizerunku, dodam, że jeszcze miała w mówieniu, pewien dźwięk nadzwyczajnie uroczy; coś w nim było wesołego i roskosznego, jak promyk słońca przedzierający się przez czarną chmurę — w drganiu jego głębokiem poznać, że miał związek z jakimś tajemnikiem duszy w którym Bóg złożył zaród wesołych nadziei i szczęścia; dla tego ten głos, jak wołanie z lepszego świata wyrywał się z posępnéj zadumy, godził z losem, przywiązywał do ludzi....

Są to wszystkie wrażenia, które sobie przypominam po latach tylu — musiały być mocne, kiedy w nich dotąd jak w otwartéj książce czytam; ale w opisach szczegółów w których wielostronnie przedstawił się jéj charakter, nieręczę czy będę wierny, bo mi wyszły już z pamięci ówczesne stosunki, zajścia i wypadki — głowa nic niezatrzymała, serce więcej.

Od tych przeskoków wracam tedy do mego opowiadania: Około siódméj wieczór, wierna przyrzeczeniu przyszła Joasia. Powitaliśmy ją z uniesieniem. Są tu jeszcze dwie panie — mówiła — chciałyby was nawiedzić, ale takie lękliwe ... niemogłam im wyperswadować, że się niczego obawiać niemają; oficer przyrzekł patrzyć przez szpary....

— Gdzież są te panie? zapytaliśmy.

— W sieni — odrzekła — niech który z panów wyjdzie i zaprosi.

Kilku poskoczyło ku drzwiom — warta dostała na wódkę, nieznajome weszły.

Z razu były bardzo nieśmiałe i drżące, obawa narażenia się ciągle im stała na myśli, lecz gdyśmy je otoczyli, obsypali podziękowaniami i zapytaniami, oswoiły się cokolwiek, lubo widok obszarpanych naszych mundurów i brudnéj kordegardy, zapewne niemiłe sprawiał na ich zmysłach wrażenie. — Jakaż to różnica od Joasi! Tu dopiéro postrzegłem wysokie stanowisko naszego cichego Anioła. Gdy tamte cedziły słowa czczych ubolewań, ta rozmawiała jak lekarz przy łożu chorego, wybadując każdego potrzeby, obmyślając sposoby ratunku, lub zniesienia się z rodziną. Ona jedna rozumiała nieszczęście i umiała mu radzić.

— Powiedźcie panowie — mówiła marszałkowa — w czém możemy im pomódz ... a przez pannę Joannę.... Lecz gdy nikt nieotwierał ust, Joasia odezwała się:

— Ofiarowałyście się panie złagodzić nędzę współbraci naszych, macie pole: oto ci panowie potrzebują bielizny, tamci ciepłych sukień, owi obówia — a ci chorzy, dobrego lekarza, dobrego pożywienia, dobréj pościeli....

— Z największą chęcią — odpowiedziały — ale to wszystko musi przejść przez ręce panny Joanny i tak, aby o tém nikt niewiedział, nikt dla Boga! nasze stosunki niepozwolają....

— Najchętniéj biorę to na siebie — odparła wesoło Joasia — a myśmy tymczasem wynurzali nasze podziękowania....

Nazajutrz opatrzono nas we wszystko, i z każdym dniem Joasia przyprowadzając nowe osoby, zamieniała powoli nędzę i niedostatek, w wygodne życie. Czynność jéj była niezmordowaną; zkąd brała czas na wszystko, bo trzeba wiedzieć, że niechcąc być ciężarem matce, która miała jeszcze kilkoro dzieci, i bardzo szczupły fundusz na utrzymanie ich, musiała pracować na siebie; i zapewne za godziny poświęcane nam we dnie, niedosypiała w nocy; ztąd gdy nieraz wypytywałem ją o przyczynę czerwonych powiek, składała winę na mgliste jesienne powietrze.

Stan mój zdrowia mimo lekarstw i wygód przecież niewiele się polepszał, toż samo i dwóch innych

moich towarzyszy. Z tém wszystkiém temu przypadkowi winienem ocalenie, bo kiedy zdrowych pognano daléj, mnie zostawiono jako niezdolnego do tak długiéj podróży w najgorszéj porze roku. Co więcéj pewnego dnia nawiedza mię zacny obywatel były kapitan B.... i pokazuje pozwolenie od gubernatora wzięcia mię na porękę, wraz z dwoma towarzyszami. Któż poczynił ku temu kroki? kto nam dom otworzył gościnny? kto pozwolenie uzyskał? Joasia!

Dobrze powiadam. Joasia była wszystkiém dla wszystkich. Znacie pewnie modną książkę: Tajemnice Paryża? Bogaty, udzielny książę bawi się tam w opatrzność — podobnie i Joasia bawiła się w tę grę, z tą różnicą, że będąc ubogą, bez znaczenia, bez świetnych talentów, słowem dziewczyną z gminu, umiała potęgą woli i świętością cnoty, robić możnych i znaczących narzędziami tego celu jaki sobie w życiu obrała.

Prawie przez całą zimę przechodziło jeszcze wiele partyi jeńców wojennych; Joasia ani na chwilę nieustawała w niesieniu im pomocy, a zawsze z równą gorliwością, z równą pieczołowitością najprzywiązańszéj siostry. Nietylko mieszkańcy miasta ale nawet sama zwierzchność odwoływała się do niéj; i nieraz zdarzało się, że surowy komendant tknięty przerażającą nędzą nieszczęśliwych, przywoływał ją i prosił w imieniu ich o wsparcie. Niewchodzę w jakiéj to myśli czynił; posądzano go bowiem, że tym sposobem obówie i odzież wyznaczone ze skarbu, chował do kieszeni; bądź jak bądź, widziałem w tém hołd oddany jéj cnocie nawet przez narodową nienawiść.

Było nas kilkunastu, których różni obywatele rozebrali po swoich domach.

Przyszedłszy do zdrowia, nieprzestawaliśmy wszakże być chorymi, bo to nas zasłaniało od wywiezienia, nieprzeszkadzając bynajmniéj do spędzania wesołych wieczorów śród bardzo miłego towarzystwa. Nasza wiara nielubiąca próżnować, prędko znalazła zajęcie się jakim serdecznym przedmiotem. Śród kobiet otaczających nas ustawnie — mężczyzni byli zimniejsi, — każdy nieledwo miał swoje piękne oczki do których wzdychał. Jakkolwiek były to stosunki niemogące mieć pomyślnych następstw, gdyż każden dzień groził wieczném może oddaleniem się — wszelako kojarzyły się serduszka, wiązały przysięgami statecznych uczuć, i śród ponuréj żałoby, marzyły sobie ów rozkoszny raj, który wszystkiemu takie tęczowe nadawał kolory. Nieledwie każda z naszych znajomych miała swego adoratora; Joasia jedna, choć zawsze prawie w naszém kole, choć może najpiękniejsza z swoich rówiennic, choć ubóstwiana od wszystkich, Joasia jedna, nie miała nikogo, coby się nią zajmował wyłącznie. Kiedy nieraz para po parze, pozasiadała kąciki, bawiąc się rozmową westchnień i spojrzeń, ona zawsze siedziała samotna, niby opuszczona, niby niebożątko którego nikt niechce. Uderzała mię ta osobliwość, i choć zajęty piękną blądynką któréj wzajemność zdawała mi się niepodejrzaną, przecież niemogłem sobie wytłumaczyć tego fenomenu, i zapytywałem się w duchu: dlaczegom się niezakochał w Joasi? dlaczego trzpiotowata Anielka zabałamuciła mi serce? Anielka, niemogąca bynajmniéj wytrzymać porównania z Joasią? Dla czego mi nigdy i przez myśl nieprzeszło, że w Joasi można się kochać? — Otóż i w zapytaniu mojem znalazłem gotową odpowiedź: Niemożna się w niéj kochać miłością wietrznika, ją tylko wolno było ubóstwiać jak świętą, a niewolno kalać żadną ziemską namiętnością. Może z tych wszystkich co tam byli, nikt nieumiał sobie zdać sprawy dla czego niezalecał się Joasi, ale przecież z instynktu żaden się nieznalazł, coby ją tém uczuciem obraził. Prawda, przypominam sobie, w początkach jeszcze któryś z starych wiarusów, zapewne w zbyt dobrym humorze, naczerniwszy wąsa, i najeżywszy szlify porucznikowskie wysunął się do niéj z komplementem i złożył u nóg małe oświadczenie, z ogromném westchnieniem. — Joasia ani zarumieniła się, ani spuściła oczu, tylko kiedyśmy obecni temu, parsknęli homerycznym śmiechem, ona odezwała się z szczytną dobrocią: Dziękuję Panu za tę jego przychylność, ale będąc wspólną waszą siostrą, niemogę do nikogo z osobna należeć.

Ta zagadkowa dla mnie obojętność Joasi, to stronienie młodzieży od przedmiotu który był tak godny wzniosłego uczucia, długo mię ciekawiła. Niechcąc wypytywać obcych osób o tajemnice jéj życia, wolałem to zostawić do poufnéj pogadanki. Trzeba bowiem wiedzieć, żeśmy lubili z sobą rozmawiać, ilekroć była chwila po temu. Pewnego razu, na jednym z wieczorów muzykalnych, gdzie się jakaś młoda panienka popisywała z swoim talentem, gdy zwyczajem przyjętym miłośne pary pozajmowały różne stanowiska, a jam na nieszczęście został się sam jeden, (mojéj Anielki niebyło) i Joasia, też bez nikogo, niewypadało mi jak zbliżyć się do niéj i wszcząć porządaną rozmowę.

— Jak widzę Anielka niedotrzymała panu dziś kompanii — rzekła robiąc mi miejsce obok siebie.

— W rzeczy saméj — odpowiedziałem — ale zdaje mi się, że to prędzéj robota Ciotki, która przewidując prędki koniec naszéj skłonności, przysposabia ją powoli do długiego może rozstania.

Zapewne — dodała — to się inaczéj nieskończy; lada dzień odbierzesz pan pozwolenie powrotu do domu, a wtenczas....,

— Jednakże — przerwałem — żartobliwie rzucając okiem na różne pary — niemniemam abyśmy tu zostawili wielkie spustoszenie w sercach — najwięcéj, jeżeli będzie kilka chustek zmoczonych, kilka westchnień w chwili samotnéj, a potém, z wszystkiego, kilka miłych wspomnień.... nieprawdaż?

— Czyż tak nielepiéj? — rzekła, odpierając szczerém, jasném wejrzeniem, moją ironię. Czyż nielepiéj, że się przeszkody dla obu stron zerwą, że każda będzie mogła znaleść sobie inny przedmiot odpowiedny swemu położeniu.

— Jeśli nielepiéj, to zawsze wygodniéj — dodałem znowu z ironią.

— Pan tak niemyślisz....

— Ale pani to niezawodnie.

— Mój Boże! obym tak zawsze myślała!... i dwie duże łzy stanęły jéj w oczach.

— Jakto? — mówiłem z czułością biorąc ją za rękę — więc nieomylił mię sąd mój o pani?

— Wolno panu sądzić, jak się podoba... wolno mię nazwać kobietą bez serca, bez uczuć... jednakże! Tu dłoń położyła na lewym boku, jakby chciała z niego coś wydrzeć.

— Rozumiem! i dawno domyśliwałem się, że taka piękna dusza niemogła się obejść bez miłości, że musiało się znaleść drugie serce coby się wzniosło do téj wysokości, serce coby ją zrozumiało, ale jakaś obawa, wstrzymywała mię, żem nigdy niezrobił pani pytania w tym przedmiocie, lecz teraz niech mi wolno będzie zapytać, kto jest ten szczęśliwy?

— Szczęśliwy! zawołała z głęboką boleścią i utuliła twarz w chustce.

— Nie żyje! — zagadłem bojaźliwie po małym przestanku.

— Gorzéj niż to,... a po chwili dodała z jękiem stłumionym — w Nerczyńsku!...

Ta rozmowa nasza się ucięła — pospuszczaliśmy głowy na piersi, siedząc w oniemieniu jak posągi. Żal mi było, żem zaspokajał moją ciekawość drażnieniem jéj cierpień, i chcąc jéj ulżyć choć mdłym promykiem nadziei, rzekłem:

— Bóg wie jak się mogą rzeczy odmienić, nadzieja może i dla was zaświeci....

— Nadzieja! powtórzyła wstrząsając głową... prędzéj wola żelazna; przysięgłam sobie dzielić los jego; błagam by mię tam zasłano... darmo! odpowiedzieli, żem niewinna.... jednakże — w tém powstała i ściskając mi ramie dodała z mocą — mam nadzieję zasłużyć na tę łaskę....

Z téj krótkiéj rozmowy dopełniłem sobie szczytnego wyobrażenia o téj kobiecie; zrozumiałem tę wielką tajemnicę: że niewiasta, kiedy w swéj piersi wystawi ołtarz jakiéj świętéj miłości, wtedy w taką obleka się godność, iż drobnych zalotników spojrzenia i żądze nieśmieją nawet na niéj się zatrzymać. Odtąd jeszcze większą cześcią byłem dla niéj przejęty; bo to zamknięcie się w sobie, choć skarga tyle ulgi przynosi, ta jednostajna pogoda lica, choć w głębi tyle burzy i goryczy; to straszne postanowienie, choć w koło tyle niepodobieństw.... wszystko zgoła szeptało mi w przeczuciu: Ona nie z tego i nie dla tego świata....

Wkrótce potém przyszedł mi rozkaz z uwolnieniem; radość do opisania trudna, zawrót głowy! — bo przygotowawszy się na długą, niepowrotną podróż, na nędzę, na śmiertelną tęsknotę — razem obraca się los przychylny i pod rodzinną strzechę zaprasza.... Można sobie wystawić z jakim pospiechem wybierałem się w drogę, żegnając nie bez łez w lewo i w prawo moich dobroczyńców, znajomych, przyjaciół, Anielkę nawet (pod koniec byliśmy z sobą zerwali) wypytując wielkim głosem: Gdzie jest Joasia? czy się gniéwa? czy się niechce żegnać ze mną w nadziei, że prędko powrócę? — I nigdzie niebyło Joasi — jedni mówili, że wyjechała na wieś, drudzy, że nie na wieś, inni tajemniczo głową wstrząsali, a nikt nieumiał powiedzieć gdzie się podziała. Odjechać, i Joasi niepożegnać? rostać się tak po szalonemu z moim opiekuńczym Aniołem? ach! to było ubliżyć samemu sobie, a jednak! musiałem odjeżdżać, paszport był w ręku, gubernator dawał do zrozumienia, że w razie ociągania się, przyda mi towarzystwo żandarmów.... Był to największy mój smutek przy odjeździe; prosiłem wszystkich aby, gdy ją zobaczą, powiedzieli, ile mię kosztuje niepożegnać jéj. — Między osobami które nawiedzałem na odjezdném, była pewna stara panna, gazeta miejscowa, wiedząca o wszystkich sekretach, ta postrzegłszy moje zmartwienie, wzięła mię na bok i szepnęła do ucha:

— Ja panu powiem gdzie jest Joasia?

— Zmiłuj się pani! odrzekłem.

— Ale to sekret wielki!

— Dochowam go.

— Oto pojechała na wyprawę!

— Nierozumiem pani?

— Chce wykraść marszałka S. którego wywożą.

Zamyśliłem się, i tu stanęły mi w pamięci dawniejsze jéj wyrazy: „mam nadzieję zasłużyć na tę łaskę.“....

W parę lat potém zdarzyło mi się zjechać z pewnym obywatelem Wołyńskim — wypytywałem go o Joasię — znał ją i ubóstwiał, bo także przechodził przez cierpienia.

— Gdzież jest teraz Joasia? zapytałem go z mocno bijącém sercem, jakbym miał usłyszeć jakie okropne nieszczęście.

— Jakto? pan niewiesz? — Przecież dawno nieżyje; odkryto, że popoiwszy żołnierzy, ułatwiła ucieczkę marszałkowi S.

— I za to pewnie zasłano ją do Nerczyńska? pochwyciłem....

— Gdzietam! choć się oto starano dla niéj jak o największą łaskę, lecz na przekór inaczéj się stało.... bito ją rózgami!!

Fahrsund w Norwegii.

ZORZA PÓŁNOCNA.

Wyjątek z wspomnień Dra T. T., o Danii, Norwegii, Anglii, Portugalii, Hiszpanii, Francyi i Maroko.

(Dzieło to znajduje się pod prasą w Poznaniu u W. Stefańskiego.)

Około godziny szóstéj udaliśmy się do sali ratuszowéj ubranéj w chorągwie wszystkich narodów konstytucyjnych, pomiędzy któremi błyszczał i srebrny orzeł na tle karmazynowém. — Dam niebyło, starodawne zwyczaje Germanów i Skandynawów są tutaj jeszcze zanadto w używaniu; kobiety przypuszczane jak najmniéj tylko do zabaw, muszą siedzieć w domu i pracować. Towarzystwo składało się z kilku urzędników miejskich i portowych, z pastora, doktora, adwokata, kapitana Pilotów i kilkunastu kupców z których prawie każdy był konsulem jakiegoś Potentaty ziemi. Przyjęci zostaliśmy grzecznie i prezentowani kilku jegomościom mówiącym obcemi językami, inni co ich nieznali przypatrzyli się nam, i poznawszy zapewnie, że jesteśmy ludzie jak i inni, zasiedli do Bostona. — Nastąpiła wkrótce wieczerza. Sąsiadem mym był p. Rein.... Konsul Angielski, ale rodowity Niemiec; łączył w osobie swojéj szczerą grzeczność i przyjemność dobrze wychowanego Niemca, z godnością i wolnomyślnością Anglika, w ciągu méj znajomości poznałem, że serce jego zgadzało się z ujmującą powierzchownością.

Rozmowa pomiędzy mną i gospodarzami toczyła się we wszystkich językach europejskich, i ciekawy o dowiedzenie się co się dzieje w kraju w którym żyłem, nie dałem rozmowie skierować się do własnéj méj osoby, do szczegółów méj podróży, i jéj nieszczęsnych przyczyn Zresztą przyznam, że znajdując się w towarzystwie osób zupełnie mi nieznanych, lękałem się obojętnych zdań o przedmiotach tak mnie blisko dotyczących jak sprawa narodowa; wolałem napotykać jéj nieprzyjaciół jawnych jak owych łagodnych letnich współuczuciowców lub z grzeczności przyświadczających kosmopolitów.

Ale wino zaczęło rozgrzewać serca i głowy i prawda wyjawiać się w szczerych i dobitnych słowach, poznałem wkrótce żem niemiał przyczyn obawiać się oziembłości. — Nalano szampana, wstał stary kapitan Pilotów, waleczny niegdyś korsarz, obrócił się do mnie i po angielsku następujący wniósł toast: „Nie pierwszym jesteś rozbitkiem wielkiego niegdyś narodu, którego burze na nasze zarzuciły brzegi, dumnymi jesteśmi, że nasze prawa niewzbraniają nam witać was jako braci, szczęśliwi, że niepotrzebujemy wstydzić się, jak wielu innych przyjaciół, za wasze nieszczęście. — Daliście nam dowody, z jaką godnością umiecie znosić niedolę, z jaką walecznością umiecie opierać się przeciwności, z jaką stałością kochać wspólną waszą matkę — w tych przymiotach czerpamy nadzieję i pewność świetnéj przyszłości, jaką wam życzy Norwegia.“

Wszyscy, starzy i młodzi, ksiądz i konsulowie wypili z zachwyceniem to zdrowie, na które odpowiedziałem innėm, stósownėm do okoliczności. — Przebiła się skorupa lodu, zamykająca serca gorące północy, powolność i rozmowy kupieckie ustąpiły radości i zaręczeniom przyjaźni.

Proszono mnie, abym opowiedział przygody me morskie; włożyłem na kapitana mego obowiązek historyka, bo sam dla nieznajomości wyrażeń technicznych niedostatecznie tylko mógłbym był wymalować sceny okropne, jakich byłem świadkiem. Towarzysz méj Odyssei, nie mówiący jeszcze nigdy przed tak świetném i licznėm zgromadzeniem, mięszał się z początku, ale powoli wprawił się w dostateczny entuzyazm, huczały burze, trzaskały maszty, świszczały liny, przerywały się żagle jak za dobrych czasów, kiedy jeszcze „Twenda Bröderе“ pruł fale, pod któremi teraz pogrążony leży; skończył nareszcie, wynosząc aż pod niebo moję cierpliwość w niewygodach i niebezpieczeństwie. — Ja zaś dodałem: Pozwólcie panowie, abym przy téj sposobności oddał sprawiedliwość memu kapitanowi; jego przytomności winniśmy ocalenie życia, a w nieustraszonėm męstwie i nigdy go nie odstępującéj łagodności czerpaliśmy wszyscy odwagę na życie lub śmierć. Proszę tedy, abyście panowie mi pomogli wywdzięczyć się kapitanowi, i wypili ze mną jego zdrowie. „Brawo,

brawo! niech żyje marynarz duński, i niech się długo z tego cieszy, że go Polak walecznym nazwał!“ Wypito z ukontentowaniem zdrowie kapitana, który się tym zaszczytem aż do łez rzewnych rozczulił; i chcąc czémkolwiek bądź ulżyć wdzięcznemu sercu ciężaru, ofiarował mi młodszą swą siostrę w małżeństwo, z czego nigdy niemógłem korzystać. Zwabiono nareszcie muzykę jakąś, złożoną z kilku zakatarzonych trąb i dwóch hektycznych klarynetów; przy ich nielitościwym odgłosie zaczęto śpiewać piosnki narodowe — uroczystość zakończyła się marszem tryumfalnym około stołu; porozbierano chorągwie i na czele postawiono mnie z narodową, za mną kapitan Pilotów z norwegską, za nim inni, potém konsulowie z swojemi — marsz szlusował Dr. W., a że niebyło dla niego chorągwi, wsadził szlafmycę jakąś na kij, i z nią paradował około stołu. Po dziesiątéj rozproszyło się towarzystwo, jedni drapali się na skały, drudzy uchodzili do dolin, ale wszyscy ostrożnie i za pomocą ludzi trzeźwych, najętych umyślnie na ten koniec od poczciwych żon, znających z doświadczenia skutki radości norwegskiéj.

Na czystym błękicie nieba błyszczały wesoło gwiazdy, mróz był silny, ale tak sucho, tak cicho w powietrzu, że niemożna było nasycić się jego chłodzącym balsamem. Chcąc dłużéj używać przyjemności pogody, wsiedliśmy z kapitanem do łodzi, odwożącéj Dra W. do Luchafu; droga prowadzi jak już wiemy około długiego języka skalistego, wdzierającego się do golfu i dzielącego go na dwa porty. Nieżałowaliśmy naszéj wycieczki: natura północna dała nam gratis reprezentacyą, jaką żaden teatr świata, może i Etna sama nie przedstawiła nigdy jego mieszkańcom. Kto może sobie wystawić, czém jest zorza północna, kto jéj pod północném nie widział niebem? Jakie pióro dość śmiałe, jakie porównanie dość godne do odmalowania téj boskiéj dekoracyi wiecznego nieba?

Uderzył nas naprzód obłoczek świecący białawy, zawieszony w północnéj stronie firmamentu. Nie widziałem nigdy nic podobnego i z zadziwieniem wpatrywałem się w owę gazę srebrną, pływającą wysoko w powietrzu; ale nie zostawałem długo w zawieszeniu; ognisko światłem rażące ukazało się w środku obłoczka, rzuciło niezmierne promienie na przestrzeń nieba, i od razu całe jego sklepienie pokryło się olbrzymiemi, najrozmaitsze kształty przybierającemi widmami. Ogniste snopy piorunów, długie pałające miecze zabłysły; wulkany zalewające żarem i lawą świat cały, race szybsze jak myśl przebijały powietrze. W czystym eterze niebios grały najbogatsze kolory, tu walczy purpura z jaskrawym fioletem, tam szmaragdy igrają z czarnemi dyamentami; w jednym momencie wszystko przybiera postać szerokiéj, opasującéj niebieską hemisferę tęczy, z któréj pryska na kulę ziemską deszcz ognisty. Nikt nie zdoła opisać uroku, pod jakim pozostawaliśmy niemi i zaledwie oddychający. „Boże odwieczny! czy Ty nam zstąpienie twe na ziemię zwiastujesz? — myślałem — i czyś otworzył bramy wiecznego raju?“

Nieustające zmiany kształtów i kolorów następowały jedne za drugiemi, wszystko znikało w momencie, zostawując po sobie najczarniejszą ciemność, nieprzejrzałą dla gwiazd nawet; wszystko się znów zapalało razem nieskończoną łuną, jak gdyby gorzał świat cały, gorzało niebo, woda morska w krew się zamieniła i rubinami toczyła, a skały śniegiem pokryte zalała purpura i obsypały brylanty; wszystko żyło, wszystko się poruszało, ale w zupełnéj cichości, zastraszającéj kontrastem; zdaje się, że natura własném dziełem zadziwiona milczy; a może też milczy, bo niewydała jeszcze żadnego głosu, godnego wtórować majestatycznym zjawiskom zorzy północnéj.

Trwały te cuda więcéj jak dwie godziny; przyciągani pomimowolnie ku nim jak gdyby magnetyczną siłą, wyszliśmy z portu na otwarte morze i w zachwyceniu zapomnieli wszelkiéj ostrożności; dopiero kiedy zorza północy przestała oświecać widokrąg i pogrążyła zniknięciem świat cały w grubą ciemność, poznaliśmy, że nie widać ani brzegów ani portu, i że odpływ morza zaniósł nas za daleko w swe głębie. Szczęściem, że latarnia Fahrsundska wskazywała nam dyrekcyą, jakiéj się mamy trzymać w odwrocie. Wiosłami walczyliśmy prawie dwie godziny z odpływem i powiewem od lądu, stanęliśmy nareszcie znękani pracą w porcie, wylądowali doktora, i sami dalej do miasta płynęli. Stawamy tutaj po trzeciej już godzinie, wysiadamy na brzeg i szturmujemy do hotelu; ani sposób dopukać się, wszyscy śpią jak gdyby w wiecznym śnie pogrążeni. Przejęci zimnem i znużeni, szturmujemy ciągle, w tém wypada na nas całe stado kosmatych jakichś upiorów — była to warta nocna, ubrana od stóp do głów w wywrócone niedźwiedzie. Deklarują nam ci panowie, że jesteśmy włóczęgi, że nie mamy prawa domagać się, żeby nam o tak późnéj godzinie otworzono do porządnego domu, i że zaprowadzeni będziemy na odwach, jeśli nie odstąpimy od robienia hałasu. Z stróżami nocnymi w Norwegii nie ma co żartować, są to urzędnicy bardzo poważani i uzbrojeni w owe sławne pałki, zwane jutrzenkami (morning-star), których lord Waterford poznał wpływ dobroczynny na resztę swego mózgu. — „Prowadźcie nas tedy na odwach“ rzecze kapitan, „ciekawym, co

powie jutro rano Europa, jak się dowie, że Polak w Norwegii tylko w więzieniu znalazł schronienie!" — „A boś to pan Polak?" zapytano. — „Nie ja, ale ten pan, któremu towarzyszę." — „A to co innego, czemużeś tego wprzody nie powiedział?" — Znalazł się klucz od hotelu w kieszeni naczelnego stróża, otworzył drzwi, zapalił świecę i winszował dobréj nocy. — Magiczna siło pięciu liter, tobiem wszystko winien!!

Literatura.

WZMIANKI O KILKU LEPSZYCH PISMACH.

Lechia w IX. wieku. Powieść historyczna przez W. B., wydana 1843. r. 2 tomy.

Warto, żeby czytający romanse zwrócili swoję uwagę na niniejszą powieść. Autor z niemałą pracą przewartował wiele ksiąg starych, aby zachwycić ducha z czasów tak bardzo od nas odległych. Powiada zaś: „że podań użył, jak cienia do obrazu wieku, którego światło krytyki w jego chmurnéj głębi przeniknąć i zupełnie wyjaśnić nie zdoła."

Powieść ta jest osnowana na tle czasu, gdzie światło Chrystyanizmu, choć jeszcze małą szczeliną, ale się już zaczęło do Lechii przedzierać. Było to za Popiela. Lecz autor chcąc przedmiotowi większą barwę prawdy nadać, wystawia go: nie zjedzonego przez myszy, ale zabitego przez Ziemowita, syna Piastowego, który powstał na czele ludu przeciw uciemiężeniom Popiela. Ziemowit już pojmował prawdy Chrystyanizmu, choć ich jeszcze w życie Lechii nie wprowadzał. Przyszły one w dom Piastowy z apostołami Słowiańszczyzny Cyrylem i Metodym, których podanie nazywa aniołami.

Biała Knichini. Powieść historyczna przez W. B., wydana 1844. 2 tomy.

W téj powieści z czasów Bolesława W. głośnie jest oddany zarys ostatnich zadrgnień poganizmu, staczającego walkę z Chrystyanizmem, panującym już w całéj rozciągłości. Przy staréj wierze była czysta strona narodowości Słowiańskiéj, kiedy z Chrystyanizmem wciskał się niemiecki żywioł, gdyż księża byli po części cudzoziemcami, lub nasiąkli obcemi wrażeniami. Bolesław W., chociaż oświatą i stanowiskiem politycznem należał już całkiem do zachodu, jest tu jednak wystawiony jako naczelnik, pod którego obronę ciśnie się Słowiańszczyzna, a nawet ludy trwające w staréj wierze, aby ich narodowość zasłaniał przed przemocą Niemiec. Biała Knichini przybyła do Lechii z ziemi Węgierskiéj, zkąd ją wypędzono z mężem. Tu po borach wyznawcy dawnéj wiary odbywają tajemne nabożeństwa, i przy zgliszczach swoich bożyszcz kupią się zbrojno. Mąż Białéj Knichini, a po śmierci tegoż ona sama im przewodzi; imie wojowniczéj niewiasty nietylko było postrachem napadających Lechią Niemców, ale raz po raz krwawo dało się we znaki łacinnikom (chrześcianom). Pod jéj to naczelnictwem pustelnicy Śgo Romualda zostali wymordowani. Powieść „Biała Knichini" jest jakby dalszym ciągiem powieści „Lechia w IX. wieku", bo obiedwie są obrazami historycznemi, osnowanemi na tle jednakiém. W pierwszéj wierzchni kamień fundamentu staréj wiary jest dopiero dotknięty, kiedy w drugiéj cały gmach runął na zawsze.

Przedświt. Wydany 1843. przez Konstantego Gaszyńskiego.

Poemat poprzedza wstęp, gdzie autor porównywa epokę upadającego Rzymu z dzisiejszym stanem społeczeństwa. Jak na gruzach starego świata musiała powstać nowa idea, idea Chrystyanizmu, tak i dziś, tęsknota — niepokój — brak czegoś lepszego we wszystkich sercach — jest niewątpliwie przedświtem nowéj ery. Świat dzisiajszy dojdzie nie już do usłyszenia, ale do zrozumienia i dopełnienia obietnicy Chrystusa.

Juliusz Cezar, przed Napoleonem największy ze śmiertelnych, prowadząc Greków do Afryki, a Germanów do Grecyi, zbliża wszystko do siebie i brata — ziemia myśli, że on jest Bogiem, a on był tylko poprzednikiem Boga. Na polu historycznem on aniołem, któremu kazano usuwać zapory z przed stóp idącego pana. Epokę rewolucyi francuzkiéj, porównywa autor z czasami Syli i Maryusza, i jak świat starożytny wydał po takiém wstrząśnieniu Cezara, tak nowożytny Napoleona.

W poemacie poeta ma objawienie przyszłości, i widzi tu swój naród przewodzący ludzkości. Mowę swoją zwraca do kobiety: niejest ona dla niego tą istotą ulatującą od ziemi ku niebu, ale siostrą, która z nim myśli i czuje, która z nim podziela niedolę. W objawieniu widzi ją téż jako siostrę brata, zrównaną z nim we wszystkiém na ziemi. Swój naród przodkujący ludzkości, wyprowadza poeta jako konieczność, bo w nim słowo Chrystusa, które dotąd było widać, teraz wejdzie w życe. Tak więc mówi:

Ty nie jesteś mi już krajem
Miejscem — domem — obyczajem,
Państwa skonem — albo zjawem
Ale wiarą — ale prawem.

Ten już odtąd Boga kłamie
Kto cię zdradzi — kto cię złamie
Bo myśl Boga w twojém łonie
I los świata w twym zakonie.

L'Atelier. Pismo peryodyczne, które ma za moto: Celui qui ne veut pas travailler ne doit pas manger. Współpracownikami mogą być sami tylko rzemieślnicy, prowadzący się moralnie. Artykuły przegląda i wybiera ustawione na ten cel Juri, które się zmienia co trzy miesiące. O polityce mało tu rozprawiają, głównie o socyalizmie Francyi, i innych narodów. Artykuły historyczne, stósowne do ducha pisma, często bywają zamieszczane; są one gruntowne, a przytém prosto obrabiane. Pismo to cechuje czysty Chrystyanizm, miłość i poświęcenie dla ogółu. Czytając nie dojrzy się tu téj cierpkości napełnionéj żółcią, ale łagodność i dobrotliwość płynącą z serca.

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania. — „Roku 1843“ wyszedł Tom VI. i zawiera: 1) Rzecz o dramacie w dzisiejszém piśmiennictwie polskiém, przez D. 2) O zewnętrzném życiu Anglii, przez A. S. 3) Najnowsze odkrycia elektro-magnetyczne, z zastósowaniem ich do sztuki lekarskiéj. 4) Obraz wypadków politycznych w drugiém półroczu 1843. roku. 5) Z Dziennika artysty. Porównanie świata wewnętrznego człowieka ze światem zewnętrznym. 9) Kilka słów o pojęciu poezyi. 7) Oświadczenie, iż w roku 1844., toż pismo wychodzić będzie co miesiąc i może być zapisane na wszystkich król. urzędach pocztowych.

Dnia 14. Stycznia, był dany bal w Polskiém Kassynie. Osób zgromadziło się niewiele, bo tylko do dwieście, lecz po większéj części tańcujące, dla tego wielka sala Bazaru była niedostatecznie napełniona, ale za to przestworniejsza, i tańcujący byli weselsi jak zwykle. Kobiety celowały skromnem ubraniem jak na Polki przystoi; oddaliły się o godzinie 1wszéj, mężczyzni na rozmowach dłużéj pozostali.

Nazajutrz 15., Stycznia, w tejże sali zgromadziło się osób przeszło czterysta na koncert Samuela Kossowskiego. Fantazya jego własnéj kompozycyi spowodowała najhuczniejsze oklaski. Gra Kossowskiego świadczy o niepospolitym talencie. Udaje się on do Niemiec i Francyi; niewątpimy, że skoro się rozpatrzy w muzycznym świecie, stanie pomiędzy pierwszymi mistrzami.

Pan Vogt, Dyrektor Teatru niemieckiego, wchodzi podobno w układ z jakiemś towarzystwem artystów dramatycznych polskich, i może przez kilka miesięcy będziemy mieli znowu teatr polski. Na zabawy karnawałowe jeszcze z prowincyi niezjechała żadna familia, lubo słychać i po cenach zboża, a dobrym urodzaju wnosić można, że ich się bardzo wiele nazjeżdża.

MODY.

Paryż, dnia 7. Stycznia 1844.

Zimna coraz są u nas dotkliwsze, dla tego znikają szale kaszemirowe, a natomiast pojawiają się okrycia w rodzaju płaszczy. Najbardziéj podobają się z aksamitu lub atłasu, bez żadnego wystrojenia. Jeżeli płaszcze aksamitne mają strojniéj wyglądać, w ówczas zdobią je haftami jedwabnemi; atłasowe zaś płaszcze pięknie sztepują, lub orzucają czarnemi koronkami lub lekkiemi pasamonami.

Z futer najczęściéj widujemy gronostaje i znachodzą się jako szale długie i wielkie kołnierze pelerynowe.

Na wyjście biorą suknie z gładkiego lub haftowanego sukna, kaszemiru, atłasu, pekinu w pasy jedwabne i czarnego lub ciemnokolorowego damastu. Staniki są obcisłe i wysokie, rękawy ciasne, powłoki bardzo pojedyńcze lub dwiema osadzone falbanami. Garnirują powłoki wstążkami fałdowanemi od dołu aż do stanika, a w środku tych wstążek wstawiają wązką ciemną wstążkę aksamitną.

Na wieczory szczególniéj noszą aksamity, atłasy lśniące, a mianowicie w pasy, jasne damasty, pekiny w małe bukiety kwiatów, rozrzucone po drobnych i nie wyrazistych paskach i mnóstwo innych tkanin przerabianych. Pięknym tego rodzaju ubiorem nazwalibyśmy np. suknię aksamitną z wyciętym stanikiem, krótkiemi obcisłemi rękawami i bertą koronkową. Z przodu widać dwa rzędy wyciętych czworoboków, z pod których widać spódnicę białą lub w innym jasnym kolorze. Te przydługawe i otwarte czworoboki są obrzeżone jedwabiem, a w rogach mają jedwabne guziki lub rozety wstążkowe. Ku przepasce czworoboki te zmniejszają się. Za strój głowy koronki lub kapelusik z słaniającém się piórem.

Ubiór balowy. Na balowe ubrania najwięcéj używają i w téj zimie tarlatanu; przezroczystość jego, miękość i świeżość zapewniają mu u dam pierwszeństwo. Stosują się do niego, jak i do krepy, wszelkie rodzaje wystrojów z wstążek i kwiatow, a nawet hafty pięknie na nich wyglądają.

Wiele sukien balowych ma dwie powłoki, z których jedna jest okrągła i pełna, druga zaś tunika otwarta po bokach. Obie powłoki mają u dołu lekki haft w dwóch lub trzech odcieniach.

Objaśnienie ryciny.

1. Frak czarny. Kamizelka haftowana.
2. Strój głowy z szarfy kaszemirowéj ze złotem. Suknia krepowa.
3. Włosy girlandą zdobne. Suknia jedwabna orzucona koronkami i wstążkami.

Redaktor: *N. Kamieński*.

Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki*.